

W życiu każdego dziecka przychodzi czas na rozpoczęcie edukacji. Czasami jednak mały uczeń musi stawić czoła wielu przeciwnościom losu. Tak było i ze mną.

Od urodzenia choruję na mózgowe porażenie dziecięce. Ponadto, w wieku trzech lat, przeprowadziłam się z rodziną na wieś, gdzie nie ma szkół integracyjnych. Wówczas najbliższa szkoła integracyjna znajdowała się w Radomiu, jednak naukę w niej uniemożliwiała mi odległość, a do internatu nie chciano mnie wtedy przyjąć z powodu niesamodzielności. Dlatego też zostałam skazana na nauczanie indywidualne w domu. Uważam, że to najgorsze rozwiązanie dla każdego niepełnosprawnego ucznia, bowiem nauczanie indywidualne oznacza izolację. Co prawda, dzięki uporowi mojej mamy, mogłam chodzić do szkoły raz lub dwa w tygodniu, aby uczestniczyć w lekcjach mojej klasy jako słuchacz, jednak dla mnie to było wciąż za mało. Byłam bowiem dzieckiem towarzyskim, wesołym i garnącym się do innych dzieci. Taka sytuacja trwała przez cały okres mojej nauki w szkole podstawowej i w gimnazjum.

Dopiero w liceum moje życie zmieniło się w stu procentach. Otóż, zaczęłam naukę w II Liceum Profilowanym w ówczesnym Centrum Rehabilitacji im. Prof. M. Wiessa „STOCER" w Konstancinie-Jeziornej. Była to szkoła przyszpitalna dla osób niepełnosprawnych. Początki były dla mnie dość ciężkie, gdyż wraz z rozpoczęciem liceum weszłam w zupełnie nowy, dotychczas nieznany mi świat.

Na oddziale wymagano od nas dużej samodzielności, pomimo naszych ograniczeń. Pielęgniarki i salowe pomagały tylko osobom najmniej sprawnym. Ale, na przykład, przy posiłkach nikt nikomu nie pomagał. Dla mnie przez pierwsze miesiące przeszkodą nie do przeskoczenia było jedzenie zup, gdyż nie potrafię donieść płynnego pokarmu do ust z powodu spastyczności i drżenia rąk, dlatego też początkowo na obiadach jadłam tylko drugie dania. Dopiero po jakimś czasie jedna z sióstr z naszego oddziału wpadła na pomysł, że wleje mi zupę w kubek, a ja wypiję ją przez słomkę.

W pierwszych miesiącach nauki w liceum życie komplikował mi też rygor panujący na oddziale - czyli poranne zbiórki przed śniadaniem i zakaz samodzielnego wychodzenia poza szpital. Jednak po pewnym czasie nauczyłam się żyć w ,,konstancińskim więzieniu'' – jak w żartach nazywaliśmy naszą szkołę.

Muszę też przyznać, że moi koledzy i koleżanki w Konstancinie sporo mnie nauczyli, bo nie ma

co ukrywać, że we wcześniejszych szkołach, z powodu rzadkiego przychodzenia do szkoły, byłam taką „klasową maskotką”. Dopiero poprzez codzienne obcowanie z rówieśnikami człowiek uczy się - na przykład - jak zachować się w sytuacjach konfliktowych.

Pomimo początkowych trudności, zaaklimatyzowałam się w Konstancinie. Najlepiej wspominam drugą i trzecią klasę. Co prawda rygor panował wciąż ten sam, ale życie umilały nam wygłupy, a czasem atrakcje organizowane przez naszych oddziałowych wychowawców. Z perspektywy czasu bardzo cieszę się, że dane mi było trafić do liceum w Konstancinie. Dzięki temu, że radziłam sobie z dala od domu, bez rodziców, uwierzyłam we własne siły.

Po skończeniu liceum wróciłam do domu i zaczęłam naukę w zaocznej szkole policealnej w Radomiu, gdyż musiałam poprawić maturę z matematyki. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości i ukończeniu szkoły policealnej, zaczęłam zaocznie studiować – obecnie jestem na trzecim roku Administracji.

Moja droga edukacyjna nie zawsze była łatwa. Wiele razy musiałam walczyć ze stereotypami i wieloma przeciwnościami losu, ale było warto. Teraz wiem, że nigdy nie wolno się oddawać.

Chciałabym, aby to, co napisałam dodało otuchy niepełnosprawnym dzieciom, młodzieży oraz ich rodzicom. Wierzcie we własne siły i nie dajcie zniechęcić się trudnościami. :)

Katarzyna Taras